



STUDZIANKI ECHO



KWARTALNIK STOWARZYSZENIA ROZWOJU MIEJSCOWOŚCI STUDZIANKA

To już ostatni...

Szanowni Czytelnicy, drodzy Mieszkańcy wsi Studzianka. Kiedy dwa lata temu wyszedłem z inicjatywą wydawania czasopisma w Studziance, nie myślałem, że „przygoda” ta potrwa 2 lata.

Przed składaniem każdego następnego numeru, wraz Kamilem Łojko, powtarzaliśmy sobie, że to już ostatni. Niewiele osób zdaje sobie zapewne sprawę, jak wielki jest to wysiłek (nie tylko intelektualny). Jak wiele czasu potrzeba, by złożyć w sposób profesjonalny 12, czy 16 stronicowe czasopismo, zawierające w większości artykuły, które rzucają nowe światło na historię nie tylko Studzianki. Dlatego też zawsze uważałem, że takie czasopisma są prawdziwym skarbem dla lokalnych społeczności. Wnoszą one bardzo dużo w poznanie dziejów ojczystych stron. Poza tym integrują lokalne środowisko oraz w pewien sposób podnoszą rangę danej miejscowości. Niestety,

takie inicjatywy najczęściej nie zyskują zainteresowania władz samorządowych i nie tylko.

Od 12 lat interesuję się historią Południowego Podlasia. Szczególne miejsce w moich badaniach zajmuje tematyka regionalna, dotycząca głównie Tatarów polsko-litewskich oraz dziejów polskiego lotnictwa. Wiele czasu poświęcałem na zgłębianie wiedzy na temat historii społeczności tatarskiej pow. bialskiego i tradycji lotniczych Płd. Podlasia. W ciągu kilku ostatnich lat zorganizowałem kilkanaście wystaw historycznych (w tym trzy w Studziance), wygłosiłem kilkadziesiąt publicznych prelekcji o tematyce regionalnej, opublikowałem blisko 200 artykułów historycznych.

C.d. str. 2

Szanujmy wspomnienia (cz. 4)

Czwarta część wspomnień Henryka Kożuchowskiego, rodem ze Studzianki, poświęcona jest okresowi służby w wojsku oraz praktykom pedagogicznym i ostatnim latom w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Leśnej Podlaskiej.

Związek Młodzieży Polskiej, przyczyniając się do budowy socjalistycznej Ojczyzny, powołał organizację, której celem była praca w różnych miejscach i regionach. Jako młodzież ucząca się, mieliśmy obowiązek dwukrotnie, w czasie wakacji, brać udział w 6-cio tygodniowych turnusach świadczących pracę na budowach socjalizmu. Moi starsi (wiekiem) koledzy pracowali przy budowie fabryki kwasu siarkowego w Wizowie k/Bolesławca, inni pracowali w PGR-ach na Warmii przy hodowli kok-sagizu - rośliny kauczukodajnej sprowadzanej z Turkiestanu. Roślina ta nie bardzo polubiła polskie klimaty i korzenie, dające mleczko kauczukowe, osiągały zaledwie 20 - 30 cm długości, zamiast około 2 m jak zapowiadano w ulotkach. Jednak w Polsce próbowano pozyskać kauczuk z tego mniszka kauczukodajnego, tak brzmi polska nazwa rośliny, i w PGR Gorzędziej w pobliżu Tczewa, przez 6 tygodni męczyłem się z kolegami przy pieleniu, podpieraniu i okopywaniu kok-sagizu. Mleczko kauczukowe miało być w korzeniu ale i łodygi i liście były lepsze od kauczuku, tak, że po dniu pracy na polu kok-sagizu, ręce były pokryte warstwą kauczuku jak rękawiczki i co gorsze, nie można tego było zmyć. Jedyne sposoby, podobny do stosowanego przy zbiorce chmielu, to szorowanie rąk piaskiem, co prowadziło do otarć i skaleczeń. Za każdy przepracowany dzień na polu, junakowi naliczano wynagrodzenie, które wypłacano na koniec turnusu.

Za rok znalazłem się w PGR Zatyki koło Zalewa. Tutaj praca nie wymagała eksperymentów. Zbieraliśmy len, żyto, pszenicę. Potem robiliśmy młóckę a wymłócone zboże odwoziliśmy do elewatorów w Małdytach i Miłomłynie.

PGR Zatyki przechodził na wyższy szczebel organizacji i podlegał elektryfikacji. Linia wysokiego napięcia została już zbudowana ale nie została odebrana przez nadzór ze względu na zabrudzenie izolatorów składowanych gdzieś pod gołym niebem i pokrytych warstwą kurzu i sadzy. Trzeba je wszystkie wyczyścić, oczywiście na słupach. Kierownik budowy linii szuka elektryka.

cd. str 4



Na mizarze w Studziance

Fot. Tomasz Ustymowicz

To już ostatni...

Zawsze starałem się zajmować tematyką nigdy dotąd nie poruszaną. Odkrywanie „białych plam” dziejów regionu było moją pasją i celem w dochodzeniu do prawdy historycznej. Niewiele też osób na Płd. Podlasiu zajmują się szeroko rozumianym regionalizmem. Brakuje osób, które prowadziłyby badania regionalne w swoich miejscowościach. Niewiele w tej kwestii robią również Gminne Ośrodki Kultury, zajęte często pozyskiwaniem środków unijnych. Niestety, po 1989 r. cała sfera kulturalna w małych miejscowościach została pozostawiona sama sobie. Tylko dzięki miejscowym działaczom i społecznikom, pasjonatom historii „małych Ojczyzn”, lokalnym liderom, regionalistom, możliwa jest jakakolwiek działalność społeczna i kulturalna. Widzą o tym bardzo dobrze mieszkańcy wsi Studzianka, których zawsze cenilem i stawiałem za wzór dla innych miejscowości. W bieżącym numerze jak zwykle znajdują Państwo artykuły o tematyce historycznej i wspomnieniowej. Ponadto wywiady, wydarzenia z ostatnich miesięcy, kącik poetycki, dowcipy i konkurs. Na szczególną uwagę zasługują wspomnienia Henryka Kożuchowskiego, Eugeniusza Dawidziuka i Heleny Adamskiej z domu Józefaciuk. W rocznicę urodzin wspominamy sylwetki płk. Józefa Wilbika, pracownika Ministerstwa Obrony Narodowej, a także płk. Jakuba Azulewicza, dowódcy VI Pułku z okresu I Rzeczypospolitej. Ponadto, zamieszczamy relacje z III Dni Kultury Tatarskiej, piknik u wojskowego w Koszalach oraz pożegnania lata w Studziance. Dziewiąty numer kwartalnika „Echo Studzianki” jest prawdopodobnie ostatnim, który przyszło mi redagować. Dziękuję wszystkim za wsparcie i ciepłe słowa pod adresem redakcji i czasopisma. Życzę Wam drodzy Mieszkańcy Studzianki i gm. Łomazy wszelkiej pomyślności.

Sławomir Hordejuk

Mój rodzinny dom

W 9 numerze „Echo Studzianki” zamieszczamy kolejne wspomnienia. Tym razem Heleny Adamskiej z domu Józefaciuk, pochodzącej ze Studzianki. Zachęcamy przy tym obecnych i byłych mieszkańców wsi Studzianka do spisywania swoich wspomnień z lat spędzonych w rodzinnej miejscowości.

Urodziłam się 4 lipca 1928 r. w Studziance. Mój rodzinny dom znajdował się po przeciwnej stronie niż stał meczet. W 1938 r. przeprowadziliśmy się na kolonię Niedźwiedzica. Miałam wtedy 10 lat i chodziłam do 7-letniej Szkoły Powszechnej w Łomazach. I tak długa droga do szkoły jeszcze bardziej się wydłużała aż do 7km w jedną stronę. Ale moja koleżanka Jadzia Sienkiewicz miała jeszcze dalej. Kiedy ja już jadłam obiad w domu po powrocie ze szkoły, ona jeszcze wędrowała. Do szkoły latem chodziliśmy na boso. Dopiero w Łomazach pod wodą z pompy myliśmy nogi, zakładaliśmy skarpety i buty. Gdy była ładna pogoda, droga do szkoły mijała nam bardzo szybko, gorzej było zimą, kiedy tylko mogliśmy liczyć na podwiezienie sałmi. Zdarzało się, że jest zamknięta z powodu mrozu. Za zwyczaj po lekcjach, kiedy było ciepło graliśmy w siatkówkę, często towarzyszył nam pan Antoni Derlukiewicz, który mieszkał w Łomazach na Budzynie. Po powrocie do domu i po obiedzie, pomagaliśmy rodzicom w gospodarstwie (cięcie zielonki dla świń, kopanie ziemniaków, prace przy przygotowaniu posiłków w kuchni). Szkołę powszechną skończyłam w 1942

r. Wspomniany przeze mnie wcześniej nauczyciel p. Derlukiewicz, bardzo nas wspierał w naszych staraniach, by dostać się do 2-letniej Szkoły handlowej w Białej Podlaskiej. Trzeba tu dodać, że w ówczesnych latach 1942-44 była (okupacja) gimnazja nie funkcjonowały. Nauczyciele starali się przekazywać jak najwięcej wiedzy. Wymagało to wiele odwagi i sprytu np. na lekcji korespondencji w Szkole Handlowej przekazywano wiedzę z zakresu języka polskiego. Kiedy chodziłam do szkoły Handlowej mieszkałam u nauczycielki w Szkole Podstawowej w Białej Podlaskiej w budynku przyklepionym do niemieckiego kasyna. Jako, że pod latarnią najciemniej odbywały się u nas spotkania konspiracyjne. Do domu przyjeżdżałam rzadko. Czasami jak udało mi się pożyczyć rower, jechałam przez Łomazy ok. 23 km, bocznymi drogami - było trochę bliżej. Przypominam sobie jaką sensację wzbudził samochód, kiedy czasami pojawiał się na drodze. Wszystkie dzieci biegły za nim wiwatując. Pamiętam, jak wielkim przeżyciem była dla mnie krótka podróż samochodem, którym w męskim towarzystwie jechała pięknie ubrana, niezwyklej urody kobieta-Tatarka. Pytała o drogę na



Helena i Aleksander Adamszy z ks. Adamem Józefaciukiem.

Fot. H.A.



W dniu ślubu z Aleksandrem Adamskim.

Fot. H.A.

cmentarz tatarski. Zaproponowałam jej, że mogę jej towarzyszyć w drodze na cmentarz. Uczestniczyłam wtedy pierwszy raz w tatarskim pogrzebie. Nie pamiętam dokładnie, który to mógł być rok, ale prawdopodobnie 1941. To był dzień pełen emocji tym bardziej,

że w domu oberwało mi się za to, że wsiadłam do pojazdu z nieznajomymi. W niedzielę przed pójściem na Msze św. zbieraliśmy się przed szkołą i parami szliśmy do kościoła. Potem trzymałam się blisko swojego taty, bo on po mszy razem z kolegami szedł do restauracji

porozmawiać i wypić po jednym piwku. Ja zawsze wtedy dostawałam od niego coś słodkiego na jakieś pyszne ciasteczko. Mama w tym czasie załatwiała różne sprawy np. odwiedzała sklep z materiałami prowadzony przez Żydów. Zawsze można tam było wyszukać coś ciekawego, bo mieli towar dobrej jakości i w dużym wyborze.

W czasach mojej młodości, młodzież spędzała wolny czas w różnorodny sposób. Po lekcjach chłopcy grali w palanta (małą piłkę odbijali kijami). Dziewczynki oprócz gry w siatkówkę lubiły spędzać czas na grze w dwa ognie i zabawie w klasy. Czasami spotykaliśmy się w domach wieczorami, najczęściej w niedzielę. Słuchaliśmy muzyki z płyt odtwarzanej na patefonie. Przed wojną pojawiły się w naszej wsi pierwsze radia-tylko na słuchawki. Kiedy więcej osób jednocześnie chciało go słuchać, to musiało się pochylać nad jedną parą słuchawek. Na potańcówki młodzież wybierała się przeważnie do państwa Miczków, którzy gospodarzyli na naszej kolonii Niedźwiedzica. Pamiętam jak ktoś przygrywał na akordeonie, ktoś inny na bębnie. Ja chodziłam tam rzadko, a jeżeli rodzice pozwalali mi spędzić wieczór na tańcach, to nie był on długi, bo o godz. 22.00 musiałam być z powrotem w domu. Niektóre mamy młodszych dam tańczących na tych zabawach zasiadały na ławach pod ścianami i obserwowały, która to panna ma najwięcej powodzenia. Prawdę mówiąc, mojej tam nigdy nie widziałam. Może jej to nie bawiło, albo nie uważała tego za stosowne zachowanie. Przypominam sobie, że dorosłe kobiety lubiły gromadzić się w niedzielę na tzw. meczecisku (plac gdzie kiedyś stał meczet, jeszcze za nim się spalił). Tam siedziały na swoich kocykach i gawędziły. A teraz coś o dawnych zwyczajach. Burze i związane z nimi gwałtowne zjawiska wywoływały zawsze duże emocje. Gdy na niebie pojawiały się błyskawice w oknach domów ustawiano zapaloną gromnicę. Miało to chronić przed piorunem i jego skutkami. Podczas Świąt Bożego Narodzenia był zwyczaj, że gospodarz dzielił się opłatkiem nie tylko z rodziną z którą zasiadał do stołu, ale również ze swoimi np. krowami ze zwierzętami które zapewniały rodzinie podstawową żywność. Do domu przed Wigilią przynosił snopek zboża i ustawiał go w kącie izby a pod obrus wkładał siano. Ten ostatni zwyczaj zachował się do dziś. Wszyscy domownicy wyglądali pierwszej gwiazdki na niebie, by zasiać wspólnie do wieczery, by być razem i rozmawiać o tym jak to kiedyś było. Wszystko po to by starsze pokolenie przekazało to kiedyś młodszemu, a to młodszemu jeżeli to będzie ciekawe i otwarte na przekazywanie wartości.

Helena Adamska z d. Józefaciuk
(Biała Podlaska)

Szanujmy wspomnienia (cz. 4)

Jestem jako pierwszy zgłaszający się ochotnik. Przecież obsługiwałem elektrownię w Leśnej. Robota płatna wg najwyższej stawki. A przy tym wcale nie ciężka. Zaopatrzone w słupolazy i pas zabezpieczający, wchodziłem na słup, zaczepiałem się linką za hak izolatora i garścią pakul namoczonych ropą i posypanych piaskiem usuwałem nalot z izolatora do „glancu”. Na słupie trzy izolatory i na następny słup.

Robota jak robota, monotonna i nudna. Dlatego wisząc na słupie, nierzadko zdrzemnałem się. I pewnego razu, w czasie takiej drzemki, dopadł mnie kierownik. Z wielkim krzykiem wyrzucił mnie z tej roboty – może też dlatego, że zostało już tylko kilka słupów do oczyszczenia.

Wróciłem do młocki. Ale tu potrzebny jest ktoś, kto dopilnuje pracy agregatu omlotowego - doleje wody, doleje paliwa itp. Znow jestem ochotnikiem i dostaję tą fuchę. No może nie taką fuchę, bo już kilkakrotnie pokazałem, że uruchomienie traktora - Ursusa - przychodzi mi łatwiej niż niejednemu traktorzyście zatrudnionemu w PGR-ze. To efekt treningu przy PERKUNIE w elektrowni w Leśnej.

Z ostatniego turnusu SP w Zatykach, powróciłem jako najlepiej zarabiający junak. Zarobionymi pieniędzmi podzieliłem się z matką a swoją część wydatkowałem na ubranie, buty i pomoce naukowe.

Praktyki zimowe i choroba

W roku szkolnym 1953/54, po zakończeniu ferii zimowych, uczniowie liceum pedagogicznego odbywali praktyki w wybranych szkołach. Mnie zaniósł do Szkoły Powszechnej w Poizdowie. Wybór został podyktowany przez kolegę szkolnego, Henryka Mierzwińskiego, który był absolwentem tejże szkoły i mieszkając w pobliżu, zaoferował nam zakwaterowanie u siebie w domu. Po zajęciach, korzystając z wolnego czasu, wybieraliśmy się na spotkanie z koleżankami pracującymi w tej szkole. Ponieważ była zima, to wracając wieczorem do domu skracaliśmy sobie drogę przez zaozarane pola. Ziemia była zmarznięta, szło się po grudach. Na moje nieszczęście, na jednej z grud omknęła mi się noga i zwichnąłem ją w stawie skokowym. Kostka obrzękła, dość mocno bolała, ale że był to ostatni dzień praktyki więc postanowiłem wracać do szkoły w Leśnej. Podróż była bardzo ciężka. Z Poizdowa do Radzyna kursował autobus, który tylko z nazwy był autobusem. Faktycznie był to samochód ciężarowy z zabudowaną, zadaszoną, drewnianą skrzynią z ławkami, do której wchodziło się z tyłu po drabince. Podłoga w tym pojeździe była metalowa a biorąc pod uwagę mróz około trzydziesto-stopniowy, to w czasie tej podróży, skarpetki na nogach przymarzały do pantofli.

Na stacji kolejowej w Radzynie poczekalnia

też nie była ogrzewana. Dopiero w pociągu z Radzyna do Białej Podlaskiej trochę odtajałem. Noga bolała coraz mocniej. Jakoś dotarłem do internatu. Tu odwiedził mnie lekarz szkolny – diagnoza zadzwonić po pogotowie i do szpitala w Białej. Pojechałem, lekarz w szpitalu obejrzał, omacał i orzekł że do szpitala się nie kwalifikuję. Musiałem z bólem, trochę z płaczem, wracać na stację kolejki wąskotorowej i jechać z powrotem do Leśnej. I znow znalazłem się w internacie. Noga obrzękła, wokół kostki zrobiła się fioletowa, bolała nawet przy lekkim nacisku – lekarz ponownie wzywa pogotowie. Tym razem w szpitalu zostaję poddany szczegółowym badaniom – wynik – podejrzenie o gruźlicę kości. Dalsze badania potwierdzają diagnozę. Jestem w rozpacz. Zdaję sobie sprawę, że może to grozić amputacją nogi. Trudno wyobrazić sobie siedemnastolatka z kikutem i laską.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych znanym lekiem na gruźlicę jest streptomycyna, ale produkowana tylko w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim. Importowana do Polski, rozdzielana jest przez Wojewódzkie Wydziały Zdrowia. Na wysłany przez szpital wniosek o przydzielenie 15 g. leku, otrzymuję 10 g.

Z zaoszczędzonych pieniędzy kupuję na czarnym rynku jeszcze 3 g. Na więcej nie mam pieniędzy.



Junacy z Brygady SP w Zatykach

Fot. H.K.



Przed pomnikiem Tytusa Chalubińskiego i Sabały w Zakopanem

Fot. H.K.

Przez okres choroby łącznie z dwutygodniowym pobylem w szpitalu bardzo straciłem na wadze - ważyłem w granicach 38 - 40 kg. Na chorą nogę mam założony opatrunek gipsowy od dużego palca na stopie do połowy uda.

Po otrzymaniu pierwszych zastrzyków streptomycyny, ordynator postanawia przenieść mnie na oddział gruźliczy, mieszczący się przy ulicy Janowskiej w przedwojennym szpitalu żydowskim. Tam dzienna stawka żywieniowa jest wyższa. Zaczynam nadrabiać na wadze. Założony gips zaczyna mnie uciskać w udo.

Mija termin na jaki założono mi gips. Z wielką ulgą przyjmuję usunięcie opatrunku gipsowego. Noga pod gipsem jest o wiele cieńsza od drugiej. Po badaniach diagnoza - następny gips na sześć tygodni. Ponieważ zbliżają się Święta Wielkanocne, błagam ordynatora w przepustkę na święta. Chcę odwiedzić matkę i spędzić z nią kilka dni. Udało się - ordynator wyraził zgodę - jadę do matki a do szpitala wracam po świętach.

Święta, święta i po świętach. Czas wracać do szpitala. Tam następne sześć tygodni w gipsie. Z maturą w tym roku trzeba się pożegnać. Ale choć przez dzień lub dwa zobaczę się z koleżankami i kolegami z roku. Jak pomyślałem, tak zrobiłem - pojechałem do Leśnej, do internatu. Powitanie jakiego się nie spodziewałem i zarówno przez kolegów jak i przez nauczycieli. Nawet pan Skolimowski, popularny „dziadek” - szkolny woźny, jak

mnie zobaczył, zaraz ofiarował mi swoją, jeszcze z czasów kawalerskich, laskę żeby mi było lżej chodzić. Powrót do szpitala odwlekał się. Minęło dwa tygodnie. Jednak muszę tak wrócić. Bolesne chwile pożegnań, i jadę do Białej.

Skruszony syn marnotrawny, staje przed obliczem ordynatora. Ten z groźną miną, wyrzuca: „Jak tyle czasu nie wracałeś, to po co teraz przychodzisz”. A za chwilę już łagodniej, zbadał, noga w obwodzie już się prawie wyrównała; prześwietlił, kość zaczęła nabierać zdrowego wyglądu. W rozmowie wyznałem, że podczas pobytu na wsi, zjadałem na surowo wszystkie jajka jakie zniósł ponad 20 sztuk hodowanych przez matkę kur.

Po konsultacjach z innymi lekarzami, decyzja - wracam do internatu, a po dwóch tygodniach na badania kontrolne.

Matura

Był to rok 1954. Rok matury, Po czteromiesięcznej nieobecności, cóż mi pozostaje - matura będzie w przyszłym roku. Zaczynam się oswajać z taką ewentualnością. Ale na razie uczęszczam na zajęcia, uczę się, i wciąż odkrywam nowe braki w mojej edukacji, które usilnie staram się nadrabiać. Tego pamiętnego roku, w ramach jakiegoś eksperymentu, najpierw odbywają się egzaminy we wszystkich klasach, a pod koniec czerwca - matura. Nasz wychowawca

p. Leonard Turkowski, organizuje wycieczkę całej klasy do Zakopanego. Wszyscy zastanawiają się czy mogą brać udział w wycieczce. Ja też. Ale co tam, jakoś sobie poradzę, koledzy trochę pomogą - i jadę razem ze wszystkimi.

Program wycieczki dość napięty. Spacerujemy w dolinę Chochołowską, w Dolinę Pięciu Stawów a wreszcie wyprawa na Kasprowy Wierch. O dziwo, z czasem i ilością kilometrów na liczniku, poruszam się coraz sprawniej, nie odczuwam bólu. Gdyby jeszcze pogoda była trochę łaskawsza to powiedziałbym - piękna wycieczka!. Ale i tak było wspaniale.

Wracamy do Leśnej. Egzaminy w niższych klasach trwają, przygotowania do egzaminu dojrzałości - też. Odbywam poważną rozmowę z Dyrektorem i kilkoma członkami Rady Pedagogicznej. Zgadza się z moją decyzją o przełożeniu matury na rok, ale proponują przystąpić do egzaminu jakby na próbę. Przecież nic nie tracę, a nabiorę pewnego doświadczenia i na przyszły rok może egzamin pójdzie łatwiej. Daję się przekonać i przystępuję do egzaminu. I ku wielkiemu mojemu, i nie tylko, zdziwieniu egzamin pisemny zdaję z oceną więcej niż dobrą. Egzamin ustny to już czysta formalność. Zaliczam wszystkie przedmioty i kończę szkołę. Jestem nauczycielem.

Henryk Kożuchowski
(Zgorzelec)

Bitwa w Studziance

W kolejnym numerze „Echo Studzianki” przedstawiamy wspomnienia Eugeniusza Dawidziuka, byłego mieszkańca Studzianki, podróżnika i społecznika. Druga część wspomnień dotyczy niedzielnej zabawy, która miała miejsce w Studziance 60 lat temu.

Łany zbóż falowały na wietrze. Kawalerowie wracający z kościoła w Łomazach, przekazywali sobie radosną wieść: „W Studziance będzie zabawa taneczna”. Po drodze oczywiście kąpiel przy moście na rzece Zielawa. Rzeka ta w tamtych czasach leniwie i romantycznie wiła się wśród zielonych łąk, a ryb było mnóstwo. Po południu wieść rozniosła się po okolicy. Kto żyw pieszo, na rowerach lub konno, zdążył na zabawę. Aż tumany kurzu roznosiły się po gościńcu. Zamożniejsi chłopcy wzięli panny na ramach rowerowych.

Duży, drewniany dom stał tuż przy drodze. Na sztachetach drewnianego płotu różne garnki, oparte grabie, dalej kosa, sierpy. Przy studni żuraw, koryto z wodą. Na ławach starsze osoby, w oknach pełno młodych. Zrobiło się tłoczno. Na podwórku mnóstwo dzieciarni. Orkiestranci ustawili bęben. Silny wysoki kawaler Maciej krzyknął: „Orkiestra grać!” Zaczął akordeonista, wtórował mu bębniarz oraz klarncista. Sala zapełniła się tańczącymi. Słychać było śpiewy, żarty, rozmowy, zaloty.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i niebawem czerwona kula skryła się za ciemną ścianą lasu. Opodal leniwie płynęła rzeka Zielawa, porośnięta sitowiem. Słychać było krakanie wron. Ptaki zasypiały na konarach. W sali panował wielki gwar, panny śpiewały.

Do grajków dołączył Gerwazy z harmonijką i stary Onufry z Lubenki, który wspaniale grał na wierzbowej fujarce. Odtąńczono już ognistego oberka i zamaszystą polkę. Panny wprost fruwały w powietrzu. Przytupy, okrzyki ho, ha, hu, hu, szybciej. Niektórzy mieli buty „oficerki” z podkówkami. Tańce bacznie obserwowały mamy i babcie, które rozsiadły się na ławach drewnianych.

Za Studzińskim lasem leżała wioska Koszoły. Na zabawy przybywali kawalerowie z tej sąsiedniej miejscowości. Bitwy z chłopakami „zza lasu” zdarzały się od niepamiętnych czasów. Różne powody, taka tradycja. Potyczka zaczynała się po tym, jak chłopak „zza lasu” wziął do tańca pannę ze Studzianki. Uczestników zabawy można było podzielić na pięć grup. Starsi kawalerowie tańczyli z pannami, narzeczonymi. Babcie i mamy pilnie baczyły na córki. Młodziki robili wówczas różne dowcipy. A to wciągali broń na dachową strzechę, a to furtę schowali w łąnie żyta, okna w alkierzu pomalowali wapnem, pług zawiesili na płocie. Najmłodszy wrzucił dziewczuchom chrabąszcze za bluzki. Sąsiedzi pilnowali swych domostw i sadów. Harmonista grał rzewną melodię. Płynęła ona wśród dorodnych łąnów zbóż i zielonych łąk. Była tak wzruszająca, że trawa płakała opuszczając obfite krople rosy.

I zaczęło się. Kawaler z Koszom, a miał on

kędzierzawe włosy, krzyknął: „Orkiestra stać, teraz grajcie fokstrotę, tańczą tylko ludzie z Koszoł! Koszołowcy proszą panny studzińskie! Silny Józek, co bez odpoczynku obkaszał kosą cały łąn żyta we żniwa, krzyknął: „Koszołowcy tu nie rządzą, orkiestra tango grać!” Popchnięty przybysz zza lasu zaklął i usunął się do sieni. W następnym tańcu najwyższy kawaler z Koszoł porwał do tańczenia narzeczoną wysokiego Bolka. Urodziwa Anielka była obiektem pożądliwych spojrzeń i westchnień wszystkich mężczyzn. Pod lnianą spódnicą wydatne biodra, w czasie oberka, obfite piersi falowały...

Nagle brzęk. Szło lampy naftowej rozbiło się na podłodze. Zapadł półmrok. Silny Józek przywalił koszołowcowi. Ten upadł na podłogę. Zaczęła się wielka bijatyka. Rwetes, jęki, wrzaski. Starsze kobiety uciekały w popłochu. Bolek krzyknął: „Studziancy do boju!” Poszły w ruch sprężynowe gwintówki, kije, grube gumy, sztachety ten i ów wyłamał z płotu. Ludzie wyskakiwali przez okna. Dzieciaki uciekły za stodołę. Ptaki zerwały się z drzewa. Bęben przewrócił się na drewnianą podłogę. W tumulcie błysnął sztylet. Stefanowi, co po miedzach pasaża krowy, piskliwie wrzeszczy: „Baby uciekajta, koszołowcy mają noże!” Zamilkła muzyka. Gapie zgromadzeni na ganku uskoczyli do ogrodu. Natalka chwyciła pogrzebacz. Koszołowiec drasnął nożem studzianca. „Ratujta Bolka, krzyczy narzeczona i wali koszołowca glinianym garnkiem po ogórkach. Drewniana sztacheta zatoczyła koło, aż ludzie usłyszeli furkot powietrza i roztrzaskała się na plecach najsilniejszego przybysza. Ten zachwiał się i powoli upadł. „Hurra Nikodem, brawo Nikodem!” – krzyczeli młodziki. Widząc to koszołowcy uciekli w żyto i krzaki. Nikodem spod lasu nosił na ramieniu nawet ciężkie bale sosnowe przy budowie. Stach, co nie doznał uszczerbku na ciele dał komendę: „Orkiestra grać!” Ci co pozostali zdrowi poszli w tany. Być może była ostatnia już taka zabawa. Heniek, Gienek, sąsiadka Natalka oraz krawowa Rozalka – wdowa po Anatolu, co zginął w partyzantce, wracali do domów. Zaczynał się brzask. Tu i ówdzie zapiał kogut. Zimna rosa chłodziła wytańczone stopy. W górze niebo usłane gwiazdami. Kawalerowie wracający z „wieczorek” lub zabaw chodzili na spanie do stodoły na siano. Było to krótkie spanie, bo niebawem trzeba było brać się za robotę, wyklepać kosę. Był to czas żniw.

Zmieniają się obyczaje, wkracza nowa technika. Starsi jednak z sentymentem wspominają dawne zabawy, tańce przy romantycznym akordeonie. Było, minęło. Nie ma już takich zabaw.

Napisał Eugeniusz Dawidziak, jako młody uczestnik tej zabawy.

A było to w czasie moich szkolnych wakacji, 60 lat temu.



Kapela na imprezie w Studziance lata 50-te XX wieku

Pamiętają o tradycjach wojskowych

„Dzień Osadnictwa Wojskowego na Południowym Podlasiu”. Pod takim hasłem 21 sierpnia w Koszozłach odbył się rodzinny piknik. Była to druga tego typu impreza zorganizowana w tej miejscowości. Dopisała nie tylko frekwencja, ale również pogoda. Na imprezie nie zabrakło też Studzianki.

Pomysł przypomnienia bogatej przeszłości historycznej oraz tradycji wojskowo-ulańskich wsi Koszozł zrodził się spontanicznie. W ubiegłym roku, grupa regionalistów i miłośników lokalnej historii, na czele ze Sławomirem Hordejukiem i Cezarym Nowogrodzki, postanowiła zorganizować piknik rodzinny pt. „Koszozł – wieś z tradycją”. Dodatkowym bodźcem było zajęcie przez wieś I miejsca na ubiegłorocznych gminnych dożynkach w Łomazach. Przy okazji odnowiono dawny cmentarz unicki, zaniedbany przez szereg lat. Propozycja szybko znalazła poparcie i w przygotowania zaangażowała się prawie cała wieś. Staraniem mieszkańców wycięto porastające cmentarz krzewy oraz oczyszczono nieliczne, ocalałe jeszcze kamienie nagrobne. W czasie prac odnaleziono kilka zachowanych kamieni z wyrytymi nazwiskami zmarłych oraz trzy żelazne krzyże. Miejsca pochówku zostały należycie uczczone. Mieszkańcy przynieśli znicze i zasadzili kwiaty. Na cmentarzu odprawiono wówczas wspólną modlitwę w intencji byłych i obecnych mieszkańców. Duże zainteresowanie wzbudził pokaz zręczności jeździeckich grupy rekonstrukcyjnej Konnej Straży Ochrony Przyrody i Tradycji. Otwarto także wystawę pt. „Koszozł w starej fotografii” oraz „Łatary Koszozł i okolic”. Ta ostatnia poświęcona była głównie osobie gen. Józefa Bielaka (1729-1794), dowódcy 4 Pułku Przedniej Straży Wojsk Wlk. Ks. Litewskiego, właściciela Koszozł i jednego z najwybitniejszych dowódców Rzeczypospolitej II poł. XVIII w.

Tegoroczne uroczystości rozpoczęły się o g. 12 mszą św. w kościele pw. Świętej Trójcy w Huszczy (gm. Łomazy). Modlono się w intencji dawnych i obecnych mieszkańców szlacheckich zaścianków m.in. Huszcza, Tucznia, Wiski, Koszozł, Studzianka, Kopytnik. Od wieków z nadania królów wsie te zasiedlane były przez szlachtę, która zobowiązana była na wypadek wojen i powstań do wystawienia pocztów wojskowych. Były to oddziały szybkiego reagowania, złożone z tzw. bojarów putnych i pancernych. Posiadali oni własne gospodarstwa i byli zobowiązani do służby wojskowej w pocztach państwa. Po nabożeństwie o g. 13 złożono kwiaty pod pomnikiem ks. Walentego Nawrockiego (1792-1875), bojownika o niepodległość, proboszcza parafii Huszcza, kapelana pułku ułańców w powstaniu listopadowym oraz dowódcy miejscowego oddziału powstańczego w 1863 r. Hymn państwowy zagrała Orkiestra Dęta OSP z Łomazy, po czym nastąpiła salwa honorowa z działa.

Następnie oficjalne uroczystości przeniosły się do wsi Koszozł (gm. Łomazy). Bogaty tegoroczny program imprezy oraz piękna słoneczna pogoda przyciągnęły licznych uczestników zarówno z Koszozł, jak i z sąsiednich miejscowości. Przybyli również dawni mieszkańcy, których dzieciństwo i młodość upłynęły w Koszozłach. Piknik był doskonałą okazją do spotkania absolwentów w budynku dawnej szkoły podstawowej. Zwiedzając stare mury z pewnością wielu wróciło myślami do lat dzieciństwa spędzonego w szkolnych ławach.

Na początku przybyłych gości i mieszkańców

przywitał Cezary Nowogrodzki, jeden z organizatorów imprezy. Następnie głos zabrał Waldemar Drożdżuk, wójt gm. Łomazy oraz Czesław Najdychor, były mieszkaniec wsi Koszozł, który spędził wiele lat w Kanadzie. Podziękował organizatorom i mieszkańcom za kontynuację ubiegłorocznej imprezy oraz zaangażowanie organizatorów w odkrywanie historii wsi Koszozł. W imieniu prof. Waława Nazarewicza, wybitnego fizyka i wykładowcy na UW, a pochodzącego z Koszozł, list odczytał Sławomir Hordejuk. Po części wstępnej odbył się koncert żołnierskich przebojów w wykonaniu Orkiestry Dętej OSP Łomazy, jednej z nielicznych tego typu orkiestr na Płd. Podlasiu.

Potem na scenie zaprezentowały się zespoły śpiewacze „Studzianczanie” ze Studzianki oraz „Śpiewam bo lubię”, który działa przy Gminnym Ośrodku Kultury w Łomazach. Po nich przemawiał mjr Marian Kodym, szef Wydziału Rekrutacji WKU Biała Podlaska. W krótkim przemówieniu zrelacjonował temat ochotniczych form służby wojskowej. W trakcie imprezy głos zabrał Jan Bajkowski, wicestarosta białski, który pochodzi z sąsiedniej wsi Kopytnik oraz Riad Haidar, radny Sejmiku Woj. Lubelskiego. Obaj zwrócili uwagę na potrzebę integracji ludzi we współczesnych czasach. Podkreślili też znaczenie lokalnych liderów, regionalistów i miłośników historii.

Z kolei dr Tomasz Demidowicz, historyk i prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego w Białej Podlaskiej, podkreślił znaczenie w przeszłości wojska na Południowym Podlasiu. Przypomnił m.in. bogate tradycje wojskowe szlacheckich zaścianków w XVI-XIX w.. Nawiązał też do ulańskich korzeni wsi Koszozł. Okazją ku temu była 300. rocznica osadnictwa tatarskiego w Koszozłach. Od 1711 r. Koszozł należały do rotmistrza, a potem pułkownika Aleksandra Ułana, tatarskiego dowódcy 4 Pułku Przedniej Straży Wojsk Wlk. Ks. Lit. To właśnie od jego

nazwiska, zaczęto nazywać formacje lekkiej jazdy ulańskimi. To on wprowadził do tej formacji m.in. lance z proporczykiem oraz taktykę tzw. ławy kawaleryjskiej.

Następnie zebranych gości zabawiał Kabaret TEN z Białej Podlaskiej. Po nim wystąpił zespół śpiewaczy „Razem” z Tucznie, który zaprezentował pieśni patriotyczne. W tym samym czasie na szkolnym boisku odbył się turniej siatkówki rozgrywany pomiędzy reprezentacjami Koszozł i sąsiednich miejscowości. Drużyny otrzymały pamiątkowe statuetki i nagrody.

Przez cały czas trwania imprezy można było zobaczyć stoiska Narodowych Sił Rezerwowych, Straży Granicznej w Sławatyczach oraz zrobić fotografię z członkami grupy Survivalowo-Militarnej „Szerszeń” z Białej Podlaskiej. Organizatorzy zadbałi także o poczęstunek. Uczestnicy mogli degustować się potrawami tatarskimi przygotowanymi przez panie ze Studzianki oraz grochówką z kuchni polowej, kiełbaskami i ciastem. Tego dnia bezpłatnie można było nabyć trzeci numer czasopisma „Kniaża”, które wydawane jest od roku. Ukazuje ono bogatą przeszłość historyczną wsi oraz sylwetki wybitnych przedstawicieli nauki, kultury, Kościoła i wojskowości, którzy związani są z Koszozłami.

Nie zabrakło też konkursów i zabaw dla dzieci. Szczególną popularnością wśród najmłodszych cieszyło się malowanie twarzy. Dzieci ustawiały się w kolejce do pani Magdy Adamskiej, która ozdabiała ich twarze kolorowymi uśmiechami klaunów lub wąsami kotów. Wielką frajdą była również jeżdźzalnia.

Cała impreza nie odbyłaby się bez darczyńców, ludzi dobrej woli oraz zaangażowaniu mieszkańców Koszozł. Myślę, że warto kontynuować tego typu imprezy, które oprócz integracji lokalnej społeczności, przybliżają historię małej Ojczyzny.

Sławomir Hordejuk



Zespół Studzianczanie w doborowym towarzystwie.

Płk mgr Józef Wilbik (1931-1988)

Ze Studzianki do Ministerstwa Obrony Narodowej

Józef Wilbik, gdyby żył w tym roku skończyłby 80 lat. Pułkownik WP, magister ekonomii, pracownik Ministerstwa Obrony Narodowej, działacz społeczny i spółdzielczy.

Urodził się 9 listopada 1931 r. w Studziance. Był synem Magdaleny Uścińskiej i Michała Wilbika. Szkołę Powszechną rozpoczął w Studziance, a ukończył w Łomazach w 1944 r. Od września tego roku kontynuował naukę w Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Po zdaniu małej matury, podjął dalszą naukę w Liceum Spółdzielczym w Lublinie. W 1949 r. zdecydował się na służbę w szeregach Wojska Polskiego. Początkowo skierowany na roczny kurs w Centrum Wyszkożenia Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu. Po jego ukończeniu oraz zdaniu egzaminu (z wynikiem bardzo dobrym) otrzymywał stopień podporucznika (wrzesień 1950 r.). Następnie rozpoczyna pracę w Departamencie Finansów Ministerstwa Obrony Narodowej. Zajmował się głównie problematyką normowania budżetowego i zatrudnienia pracowników wojska.

W 1952 r. zawarł związek małżeński z Zofią Czapską. W tym samym roku podjął studia wyższe na Wydziale Finansów w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (SGPS) w Warszawie. W 1957 r. uzyskał tytuł magistra ekonomii w zakresie finansów i rachunkowości przemysłu. Jego promotor (prof. Zajda) zaproponował mu dalszą naukę. J. Wilbik zdecydował się otworzyć przewód pracy doktorskiej. Niestety nie zrealizował tego na skutek tragicznej śmierci promotora. W 1971 r. skończył kurs z zakresu „organizacji i normowania pracy w przemyśle”. Z kolei w 1979 r. na Wydziale Finansów i Statystyki SGPS ukończył z wyróżnieniem studium podyplomowe ze specjalności „budżet państwa”. Szkolił także nowe kadry. Poza pracą zawodową, udzielał się także w ruchu spółdzielczym. Posiadał odznaki: Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego, Zasłużony dla Budownictwa i Zasłużony dla Rozwoju Turystyki. Poza tym odznaczony był m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz specjalną odznaką Ministra Finansów „Zasłużony dla Finansów”. W 1987 r. po 38 latach służby odszedł na emeryturę. Swoją pracą i zaangażowaniem zdobył szacunek przełożonych i podwładnych. Odznaczał się nieprzeciętną inteligencją i wrażliwym sercem. Jego współpracownicy wspominali, że był bardziej doradcą i kolegą niż przełożonym.

Płk Józef Wilbik zmarł 1 stycznia 1988 r. w Warszawie. Pochowany został na Cmentarzu Parafialnym Warszawa-Pyry.



Z małżeństwa z Zofią z domu Czapska miał 2 dzieci: córkę Barbarę (absolwentkę polityki społecznej w SGPS) i syna Krzysztofa Piotra (ur. 1955 r.), doktora energetyki Politechniki Warszawskiej, byłego prezesa zarządu firmy Energoprojekt S.A., dyrektora Departamentu Energetyki w Siemens GmbH, prezesa zarządu firmy

energetycznej Everen Sp. z o.o. (obecnie członka zarządu). Siostra płk. Józefa Wilbika - Maria Mazur (z d. Wilbik) ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Lublinie i poświęciła się pracy nauczycielskiej. Przez 30 lat była nauczycielem w Lublinie.

Sławomir Hordejuk

Pożegnanie lata z historią w Studziance

Dnia 17 września 2011 roku odbyło się w Studziance „Pożegnanie lata z historią”. Spotkanie odbyło się w ramach realizacji zadania „Aktywna Studzianka” realizowanego ze środków Wójta Gminy Łomazy. W ramach zajęć odbyło się szereg atrakcji i zabaw dla dzieci oraz młodzieży.

Każdy z przybyłych mógł pograć w średniowieczną grę KUBB. Pod okiem Joanny Krywczuk uczestnicy spotkania poznawali podstawy wyplatania przedmiotów z papierowej wikliny. Chętnych nie brakowało. Z kolei Anna Lesiuk z Łomaz przedstawiła proces powstawania naczyń na kole garncarskim. Wokół niej też nie brakowało osób, które chciały spróbować swoich sił w tym zajęciu. Inni natomiast grali w piłkarzyki. Najmłodsi mieli super zabawę skacząc do woli na trampolinie. W miejscu, gdzie było stanowisko łucznicze, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta trenowały przed mającym rozpocząć się turniejem łuczniczym. Po raz trzeci rywalizowano w Tatarskim Turnieju Łuczniczym. W pierwszej kategorii rywalizowali młodziecy w wieku do lat 13. Zawodnicy strzelali w trzech rundach. Najlepsza okazała się Paulina Szenejko. Drugie miejsce

przypadło dopiero po dogrywce Karolinie Kalinowskiej, która w dodatkowej rundzie pokonała Sandra Fuks. Nagrodę Fair Play otrzymał najmłodszy z uczestników, sześciolatek Przemek Kalinowski, któremu zabrakło bardzo niewiele, a mianowicie 2 punktów do podium. Najciekawszą tego dnia walkę w łucznictwie stoczyli zawodnicy w kategorii juniorzy. Tytułu sprzed roku bronił Przemysław Kowaleńko i nie zawiodł. Prowadził zdecydowanie po strzeleniu stojąc. Powiększył przewagę strzelając z kolana. W trzeciej rundzie potwierdził z obrotu, że nie ma mocnych na niego w tej kategorii wiekowej. Także w tej kategorii o zajęciu 2 miejsce musiała zdecydować dogrywka w której Mateusz Olichwirowicz okazał się lepszy od Daniela Popławskiego. Nagrodę Fair Play otrzymał Michał Szenejko. Najwięcej zawodników wystartowało w kategorii Open. W rywalizacji wszystkich

zaskoczył Daniel Kalinowski który nie radził sobie w kategorii juniorzy, a przełamał się w OPEN i wygrał Tatarski Turniej Łuczniczy. Drugie miejsce zajął Wiesław Węda, a trzecie Mateusz Olichwirowicz. Nagrodę za postawę Fair Play podczas całego turnieju otrzymał Sebastian Rozwadowski. Zwycięzcy otrzymali puchary, medale oraz statuetki zakupione ze środków Urzędu Gminy Łomazy.

Następnie odbyło się spotkanie w świetlicy, gdzie zgromadzeni mieszkańcy Studzianki przygotowali wieczór integracyjny z tradycyjnymi potrawami. Zaproszeni goście oraz mieszkańcy oglądali występy zespołu Studzianczanie. Potem wystąpił kabaret „Zielawa” ze Studzianki i zespoły Macierz oraz Bokinczanka. Całość zakończyła wspólna biesiada oraz tańce.

Autor: Łukasz Węda



Ciąg dalszy wspomnień Mieczysława Janowicza o Studziance i jej dawnych mieszkańcach (2)

W czasach mojego dzieciństwa, mieszkańców Studzianki ludność okolicznych wsi nazywała niekiedy Tatarami. Słyszałem takie wypowiedzi wśród dzieci z Łomazy i Lubenki, z którymi często się spotykałem. Przyjmowałem to obojętnie: nie czułem z tego powodu zawstydy, ani dumy. Jak słyszałem od pana Pirogowicz, król Jan III Sobieski nadał Tatarom ziemię w Studziance za zasługi wojenne dla Polski.

Spośród potomków Tatarów w Studziance znalazłem jedynie małżeństwo Pirogowiczów i młodą siostrę pani Pirogowicz – nazwiska nie pamiętam. Podobno dopiero w 1946 roku przyjęła ona chrzest katolicki – nie wiem czy to prawda. Rodzina ta cieszyła się sympatią otoczenia i szacunkiem.

Pamiętkami po Tatarach był i jest mizar oraz meczecisko – tak nazywamy był plac po spalonym w czasie I wojny światowej meczecie. Na meczeciku w czasie wolnym gromadziły się dzieci i młodzież spędzając czas na grach i zabawach.

Natomiast mizar ogrodzony był szelcnie drutem kolczastym ze wszystkich stron i wejście tam było trudne. Apel pana Pirogowicza o konieczności zachowania szacunku dla cennego zabytku historycznego był w pełni respektowany. Osobiście byłem tam z kolegami kilka razy, ale zawsze staraliśmy się nie spowodować najmniejszych uszkodzeń, nawet w ogrodzeniu.

Dla lepszego zrozumienia tamtych czasów rzucę garść światła na stosunki społeczne panujące w tej części Polski.

Wieś była przeludniona – jak w całym kraju, może z wyjątkiem Wielkopolski. Gospodarstwa rolne rozdrobnione, rodziny przeważnie wielodzietne. W Studziance gospodarstwa ponad 30 ha były tylko dwa: Walentego Szenejki (ok. 50 ha) oraz jego krewnych, braci Piotra i Józefa Szenejków (ok. 35 ha). Wszyscy Szenejkowie w wieku powyżej 50 lat byli kawalerami. Pracę na roli i w zagrodzie wykonywali przy pomocy sił najemnych (parobków, służących i pastuchów), zatrudnianych na stałe, bądź na dniówki – rekrutowanych spośród okolicznych małorolnych.

W tym temacie zachowały się w mojej pamięci dwa zdarzenia. Miejscowy małorolny Tomasz Tur, przyjmując zamówienia na skoszenie kawałka łąki Józefa Szenejki, na zadane pytanie jakiej życzyłyby zapłaty za usługę, odparł: „da pan pud pszenicy” na co uzyskał zgodę zleceniodawcy. W tym miejscu należy wyjaśnić, że w latach 30-tych na wsi polskiej tylko bogatsi rolnicy mieli wagi dziesiętne i posługiwali się miarami polskimi. Natomiast wśród biedniejszych posługiwano się miarami i wagami z czasów zaboru rosyjskiego. A więc liczono na pudy, funty, itd. Prawie w każdym domu był „bezmian” służący do ważenia. Był to pręt stalowy z podziałką wskazującą funty, zakończony z jednej strony kulą stalową, z drugiej hakiem do zawieszania towaru i w środku posiadający uchwyt do zawieszania i przesuwania. Józef Szenejko jako zamożny rolnik posiadał już wagę dziesiętną i ważył towar na kilogramy. Kiedy przyszedł czas rozliczenia się za pracę, zadał Turowi pytanie: „Tomaszu, pud to ile jest kilogramów – po mojemu to 15.” Tomasz odpowiedział: „panie Józefie! 15 kg to jest pudzik, a nie pud. Prawdziwy pud to jest waga 16 kg, natomiast pudzisko równoważy 17 kg. Pozostawiam sprawę do pańskiej decyzji. O 1 kg pszenicy nie będę się targował.” Józef okazał się uczciwy

i odważył Tomaszowi 16 kg.

Warto zwrócić uwagę, że Szenejkowie zwracali się do robotników per „wy”, natomiast wymagali, aby do nich zwracano się per pan.

Miejscowy małorolny Jan Bandzarewicz jak wielu innych też szukał zarobku. Pewnego razu zatrudnił go na jeden dzień Józef Szenejko za 2 zł do koszenia zboża. Bandzarewicz – mężczyzna wysoki i kościsty przyszedł wczesnym rankiem bez śniadania i przystąpił do pracy. Koło południa poprosił starszą panią Szenejkową o dzbanek wody. Napiła spragnionego i zaprosiła na obiad za godzinę. Obiad składał się z talerza zupy i kurzego udka z ziemniakami. Jan zjadłby na raz trzy takie obiady, ale wstydił się poprosić o repetę, zresztą widział pustawę garnki. W tej sytuacji poprosił starszą panią, aby mu pożyczyła 2-wu kilogramowy bochenek chleba. Z chlebem tym wyszedł na podwórko, rozsiadł się na ławce i zjadł cały bochenek popijając wodą z dzbanka. Zauważyła to pani Szenejkowa, wyszła na podwórko i tłumaczyła się przed Janem za skąpy obiad oraz oświadczyła, aby traktował zjedzony chleb jako należny posiłek, a nie pożyczkę.

Jak już wspominałem, moi rodzice również zatrudniali parobków. A to z tego powodu, że ojciec był inwalidą i nie mógł pracować, tylko przy pomocy rąk, siedząc. Będąc wykwalifikowanym szewcem zajmował się wyrobem i naprawą butów. Sam będąc biednym zatrudniał biedniejszych od siebie.

Jak to się stało, że mój ojciec był szewcem. Otóż był on 10-tym dzieckiem swojej matki. Babcia Janowiczowa urodziła najpierw syna nadając mu imię Józef, potem kolejno 8 córek i wreszcie drugiego syna Hipolita. Mając kilkanaście hektarów ziemi moi dziadkowie doszli do wniosku, że nie ma sensu dzielić tego gospodarstwa po 1 ha dla każdego dziecka, lecz należy sprzedać je w całości i każdemu zapewnić posag. Jak postanowili, tak zrobili – sprzedali przed wybuchem I wojny ziemię za 10 000 rubli, zostawiając sobie 1 ha i krowę.

Wybuchła wojna, pieniądze strawiły wartość, dzieci rozeszły się po świecie. Brat ojca zdobył zawód szewca, miał warsztat w Białe Podlaskiej, później przeniósł się do Brześcia. Ojciec nauczył się zawodu w zakładzie brata. Pieniądze za gospodarstwo – 10 000 rubli w banknotach po 100 rubli – pamiętam je dobrze, babcia przechowywała w blaszanym pudełku – kuferku po herbacie. Zostały one zrabowane przez bandytów w czasie napadu na naszą rodzinę w 1942 roku. Nie miały już one żadnej wartości od 1914 r. Ile były warte przed I wojną światową? Mój nauczyciel języka rosyjskiego na studiach, dr Julian Pikiel opowiadał, że po zdaniu matury w 1913 r. dostał od ojca w nagrodę 100 rubli, za które przez dwa miesiące wakacyjnie podróżował koleją transsyberyjską na daleki wschód a następnie na Krym i na Kaukaz.

Jak już mowa o dochodach i wartości pieniądza, podzielę się z czytelnikami dawnymi, które pamiętam. Otóż parobkom płaciło się w Studziance i okolicy równowartość 100



kr żyta za miesiąc pracy czyli 12 zł oraz wyżywienie.

Inne ceny, które pamiętam:

- 100 kg pszenicy – 18 zł
- 1 litr wódki – 4 zł
- 1 kg cukru – 1 zł
- piłka gumowa do palanta – 20 gr.
- jajko kurze – 5 gr.
- pudełko zapalek – 20 gr.

W skład gospodarstwa rolnego mojej rodziny wchodziły:

- grunty orne – ok. 7 ha
- łąki – ok. 2 ha
- las – ok. 3 ha

Rejentalnie nie było to dokładnie podzielone na poszczególne osoby. Większościowym właścicielem był mój dziadek, ojciec matki – Antoni Niczyporuk. Lata I wojny światowej (1913-1921) spędził on w USA pracując jako drwal w puszczy amerykańskiej. Po powrocie w 1921 roku do żony i dwóch córek zamieszkałych w Studziance, spłacił długi żony, dokupił kawałek gruntu i połowę przywiezionych dolarów zamieniła na marki polskie, które wskutek panującej hiperinflacji straciły całkowicie swoją wartość. Lata ciężkiej pracy fizycznej i prymitywnych warunków życia przyczyniły się do utraty zdrowia. Już pod koniec lat 30-tych był praktycznie niezdolny do pracy w gospodarstwie. Jak wiadomo, rolnicy nie byli ubezpieczeni na wypadek choroby. Zatrudnienie pracownika do pracy na roli na stałe lub na dniówki było bardzo łatwe. Bezrobotnych było bardzo dużo. Nawet w drugiej połowie lat 30-tych a więc już po wielkim kryzysie światowym prawie co tydzień przychodził do nas ktoś z kartką od sołtysa, aby go bezpłatnie przenocować.

Niektórzy bezrobotni prosili o poczęstunek, większość dopytywała się o możliwość zatrudnienia. Z chwilą wybuchu wojny znaczna część bezrobotnych zetknęła się z falą więźniów kryminalnych, którzy zostali wypuszczeni z więzień, co sprzyjało powstawaniu band rabunkowych. Zjawisko to nasiliło się przez prześladowania Żydów,



Płk Janowicz w towarzystwie rodziny

a następnie przez radzieckich jeńców, którzy uciekli z niemieckiej niewoli. Wszystkie bandy podawały się za partyzantów, ale wszystkie łupiły ludność wiejską. Opcje polityczne zaczęły być czytelne dopiero po wojnie. Przez okres ponad 4 lat wojennych działał w Studziance znienawidzony przez miejscową ludność osobnik o nazwisku Sobótka – imienia nie pamiętam. Był on już nie konfidentem, ale jawnym pracownikiem władzy okupacyjnej. Zajmował się on prowadzeniem szczegółowej ewidencji i znakowaniem zwierząt rzeźnych we wszystkich gospodarstwach rolnych, także terminową egzekucją dostaw kontyngentów. Praca jego polegała na tym, że nie rzadziej niż raz w kwartale odwiedzał każde gospodarstwo, lustrował wszystkie chlewnie, obory oraz stodoły aby nie przeoczyć żadnego zwierzaka. Znakował je przez wbijanie metalowych kolczyków w uszy zwierząt i wyznaczał terminy dostaw kontyngentów. Ponieważ niektórzy rolnicy starali się ukryć część zwierząt, budując w tym celu odpowiednie klatki w stodole osłonięte warstwą słomy. Sobótka wyspecjalizował się w tropieniu tych praktyk. Nauczył się wydawać odgłosy chrząkania podobne do głosów świń. Po wejściu do stodoły zarządzał ciszę i głośno chrząkał. Jeżeli były ukryte świny – zawsze się odezwały. Ponadto Sobótka nosił przy sobie narzędzie w postaci ostrego prętu, którym dźgał w słomie lub sianie szukając ukrytych zwierząt. Było to szczególnie niebezpieczne dla mojej rodziny, ponieważ w sianie była wykonana kryjówka dla przechowywania przez nas przez dwa lata uciekiniera z obozu jenieckiego. Wprawdzie Olek Romanow nigdy w dzień nie przebywał w kryjówce, ale wystarczyło aby Sobótka zauważył kryjówkę i powiadomił żandarmów. Na szczęście tak się nie stało. Sobótka nazywany przez nas „kulczykatorem” skrzywdził wielu ludzi. Za naruszenie stwierdzonych przez niego przepisów władz okupacyjnych, surowo karał mandatami i straszył obozem koncentracyjnym. Spotkała go za to kara dokonana przez pokrzywdzonych. Wiosną 1944 r. kiedy były widoczne klęski Niemiec na wszystkich frontach i czas ich dominacji był policzony, grupka rolników w odwecie doznanych krzywd ujęła „kulczykatora” zadając mu wiele ciosów i wbijając kolczyki w jego uszy i nos. Od tamtej pory w Studziance

nie słycać było o Sobótce.

Wspominając lata szkolne szeroko opisałem moje relacje z nieżyjącym już przyjacielem Józefem Wilbikiem. Drugim serdecznym kolegą z lat szkolnych był Czesław Józefaciuk. Jego biografię zamieszczono w numerze 1(7) Echa Studzianki. Od siebie chciałbym dodać tylko dwa epizody – przygody z lat powojennych.

Otóż latem 1946 r. zaliczywszy na kompletach prywatnych pierwsze dwa lata gimnazjum, zastanawialiśmy się z Czesławem, co robić dalej. Że trzeba się uczyć – nie było wątpliwości. Ale gdzie? W Białej Podlaskiej nie było wyboru, była tylko jedna męska szkoła średnia – gimnazjum ogólnokształcące. Chętnie poszlibyśmy do szkoły profilowanej, aby po maturze mieć od razu konkretny zawód i możliwość zarobkowania. Uradziliśmy, że jedynym wyjściem będzie wyjazd na zachód – do większych miast, gdzie są różne szkoły. Ja wówczas poza Białą Podlaską nie miałem adresów krewnych ani znajomych. Mój kolega zaś Czesiek, miał ciotkę w Warszawie. Była to pani Chorąży, znana przed wojną i po wonie działaczka PSL, w 1946 r. pełniąca obowiązki szefowej kancelarii wicepremiera Stanisława Mikołajczyka. Mieszkała na Alejach Jerozolimskich w jednej z kilkunastu kamienic ocalałych z pożogi wojennej. W kamienicy tej mieścił się również zarząd główny PSL oraz pokoje gościnne tej partii.

Spośród trzech moich byłych kolegów szkolnych ze Studzianki pozostał do opisania jeden – najtrudniejszy we współżyciu i do scharakteryzowania.

Jan Błyskosz s. Jana r. 1931 pojawił się w Studziance we wrześniu 1939 r. jako gość moich sąsiadów Piotra i Józefa Szenejków, u których przebywał z matką ponad 5 lat. Jego ojciec Jan Błyskosz, zawodowy oficer WP, do września 1939 r. w stopniu kapitana służył w przygranicznym wówczas Krotoszynie. Po wybuchu wojny żonę z synem wysłał do krewnych Szenejków w Studziance, sam stanął w szereg obrońców Warszawy. Mianowany do stopnia majora, w trakcie walk stracił oko i ranny dostał się do niewoli. W oflagu przebywał do 1945 r. W tym czasie jego żona mieszkając u Szenejków przez 5 lat pracowała w sklepie w Studziance.

Dla młodego Janka, zwanego w rodzinie Zuza,

byłem pierwszym poznanym w Studziance kolegą. Razem poszliśmy do II klasy szkoły powszechnej. W czasie wolnym zapraszał mnie do domu, gdzie miał dużo zabawek. Żołnierzyków ołowianych miał bez liku, tak że ustawiliśmy na podłodze dwie armie walczące ze sobą. Zabawki te szybko niszczył, np. żołnierzyki przydzielone do mojej armii wytułkł łańcuchem, gdyż jego armia musiała zwyciężyć.

Jako jedynak wychowywany w inteligenckiej rodzinie był niezwykle rozpieszczony, a nawet rozwydrzony. Obserwując go nieodparcie przychodzi mi na myśl wierszyk o Pawle i Gawle, a w szczególności jak to Gawel urządzał najdziksze swawole. I jak np. wiedząc, że babcia Szenejkowa brzydzi się i boi myszy, na polu przy mendlach ze snopkami nałapał kilkanaście gryzoni, powiązał je sznurkiem, opasał się nimi krzyżując sznurek na piersiach, a następnie przyszedł do kuchni wałąc myszami po meblach i po garnkach aż brzygało. Babcia staruszka nie odważyła się go skarać, a wujkowie byli zajęci swoimi sprawami i rzadko pokazywali się w mieszkaniu, przychodzili tylko na posiłki.

Inny przykład. Zuza nałożył sobie na rękę łyżkę smalcu i głośno oświadczył, że idzie do Maryśki kopoluwać, używając przy tym niecenzuralnych określeń. Smalec będzie mu służył do smarowania, żeby się nie zatarło. Będąc tego świadkiem obserwowałem, czy rzeczywiście pójdzie do Maryśki pasącej krowy. Okazało się że poszedł, ale oberwał kijem po plecach i uciekał z tym smalcem.

Po kilku latach trochę spowaźniał. Uczył się dość dobrze. Wybitny talent wykazywał w dziedzinie rysunku. W głowie klebiły mu się zwiariowane projekty polityczne, twierdził na przykład, że dla Polski najlepszym ustrojem byłaby monarchia absolutna. Po przeniesieniu się do Białej Podlaskiej w I klasie gimnazjum wstąpił do młodzieżowej lewackiej organizacji Związku Walki Młodych. Dopiero jesienią 1945 r. ojciec Zuzy wybił mu z głowy komunizm i ukierunkował go na poszukiwanie skrajnie prawicowej organizacji.

Ja z kolegą Wilbikiem wstąpiłem do III klasy gimnazjum dopiero w jesieni 1946 r. Z Białej Podlaskiej w dywizji wstąpiłem do klasy. Jednak w czerwcu 1947 r. po złożeniu życzeń imieninowych Jankowi Błyskoszowi zostaliśmy zaproszeni przez solenizanta na przyjęcie do domu. Jego ojciec, też solenizant, po wyjściu z oflagu został powołany do wojska, mianowany podpułkownikiem i wyznaczony na stanowisko dowódcy pułku piechoty w Białej Podlaskiej. Pułk ten wkrótce został rozformowany, a Błyskosz zwolniony do rezerwy.

W czasie imienin widziałem go pierwszy i ostatni raz w życiu. W niedługim czasie przeniósł się z rodziną do Lublina. Na przyjęciu wypiliśmy trochę alkoholu, senior więcej, my znacznie mniej. Rozmowy toczyły się głównie na tematy polityczne. Najwięcej do powiedzenia miał senior. Jego wypowiedzi były zdecydowanie antyrządowe i antysocjalistyczne. Nikt z nas w rodzinie nie miał członków partii (wówczas PPR i PPS) i nie był entuzjastą nowego ustroju, ale przedwojenny ustrój też nie był dobry. Poglądy i postawy Błyskoszów wskazywały, że będą oni mieli kłopoty. I rzeczywiście, po kilku latach obaj siedzieli już w więzieniu. Senior za polityczną działalność opozycyjną, junior za przynależność do podziemnej organizacji terrorystycznej.

Jak donosiła prasa Błyskosz młodszy, student UMCS z Lublina skazany został na 20 (a może

25) lat więzienia za udział w kilku akcjach terrorystycznych, m.in. napady z bronią w celach rabunkowych m.in. na proboszcza. Organizacja ta miała na sumieniu m.in. zabójstwo Martyki, znanego obok Wandy Odolskiej redaktora FALI-49, jadowitego komunistycznego kanału Polskiego Radia. Można wątpić w prawdziwość doniesień ówczesnej prasy, ale zabójstwo Martyki było prawdziwe. Z tym, że nie brał w nim udziału żaden z Błyskoszów.

Od czasów z Białej Podlaskiej nigdy nie spotkałem się z żadnym z Błyskoszów. Znajomi opowiadali mi, że Błyskosz junior po odsiedzeniu wyroku we Wronkach, odnalazł swoją dawną kochankę, odebrał ją mężowi i przygarnął wraz z dzieckiem. Inna wiadomość, to fakt oprowadzania przez Błyskosza wycieczek po Wawelu. Widział go Józek Wilbik za późnego Gierka, chociaż nie był na 100% pewny, czy to był Błyskosz. Po prostu nie podszedł do niego, bo spotkanie mogłoby być nie przyjemne.

W latach 70-tych przeczytałem w książce – pamiętniku gen. dyw. Józefa Kuropieski, że w szkole podchorążych w Warszawie w latach 1921-1924 służył z nim razem Jan Błyskosz. Był on starszy wiekiem od innych, ale niczym szczególnym nie wyróżniał się. Był on dość skryty i zamknięty w sobie. Dopiero po promocji na stopnie oficerskie Kuropieski i inni dowiedzieli się, że Błyskosz był już kapitanem

w armii carskiej w czasie wojny. Dlaczego to ukrywał nie chciał kolegom powiedzieć. Podobnie z wyznaniem – w armii carskiej był prawosławnym – w polskim wojsku już katolikiem. Z generałem Józefem Kuropieską poznaliśmy się przy brydżu w Zakopanem na Groniku.

Później kilkakrotnie byliśmy razem w sanatorium w Łądku Zdroju. Bardzo wysoko ceniłem sobie tę znajomość. Był on nie tylko światowym, ale światłym człowiekiem, szczerym i otwartym. Pełnił wysokie stanowisko w wojsku. Po wojnie był atache wojskowym w Ambasadzie Polskiej w Londynie, później dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego, cztery lata w więzieniu w celi śmierci, potem znów dowódcą okręgu i wreszcie komendantem – rektorem Akademii Sztabu Generalnego.

Ponieważ generał znał ojca i syna Błyskosza seniora, a ja znałem ojca i syna a byli to ludzie nieprzeciętni – opowiedziałem generałowi, co wiedziałem w tym temacie i poprosiłem o jego opinię. O juniorze nic mi nie mógł powiedzieć, ponieważ go nie znał. Seniora uważał za patriotę, chociaż nie podzielał jego prawicowych poglądów. Sam Józef Kuropieska wywodził się z robotniczej rodziny z Radomia i uważał się za człowieka lewicy, choć dostrzegał błędy rządzącej partii, nawet stosunkowo liberalnego Gierka.

Kończąc wspomnienia o latach dzieciństwa i wczesnej młodości należałoby

postawić pytanie, czy wyjątkowo trudne warunki życia, a szczególnie wieloletni traumatyczny ciąg zdarzeń w czasie wojny, prawie codzienne obcowanie z okrucieństwem i śmiercią ciągle strach przed okupantem za udzielanie pomocy osobom ściganym lub inną działalność zabronioną – miały wpływ na mój charakter i zachowanie w życiu dorosłym. Nie jestem psychologiem ale orientuję się, że obok ww. okoliczności duży wpływ na postawy ludzkie ma wychowanie w rodzinie. Ja miałem to szczęście, że miałem matkę nie tylko kochającą, ale umiejącą dobrze wychowywać. Mianowicie wcześniej nauczyła mnie czytać i pisać oraz chwaliła mnie wśród znajomych. Rzadko karciła, chroniła przed surową ręką ojca. Wyrobiła we mnie poczucie wartości. To procentowało. Do szkoły poszedłem już ze znajomością sztuki czytania, pisania i liczenia. Nauczyciele to doceniali. W Studziance w II czy w III klasie szkoły powszechnej wychowawczyni mianowała mnie gospodarzem sklepu szkolnego. W późniejszych latach wybrano mnie przewodniczącym samorządu klasowego. Dziadek Antoni – ojciec matki, też był dla mnie bardzo dobry. Jako dziecko dużo spędzałem z nim czasu. Opowiadał o Warszawie, Ameryce i całym świecie. Uczył mnie języka angielskiego.

Mieczysław Janowicz
(Poznań)



70 rocznica urodzin płk Mieczysława Janowicza

Płk Jakub Azulewicz (1731-1794) Wspomnienie w 280. rocznicę urodzin

Jakub Azulewicz większość swego życia spędził w Studziance, gdzie spoczął na miejscowym mizarze. Był Tatarem-muzułmaninem, pułkownikiem, dowódcą VI Pułku Przedniej Straży Wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, kolatorem meczetu w Studziance, a także szlachcicem i ziemianinem.

Urodził się w 1731 r. prawdopodobnie w majątku Ponary-Kurmańczyki (pow. trocki). Był synem Aleksandra-Mustafy i Felicjany z Tuhan-Baranowskich. Gałąź tego rodu pieczętowała się herbem Alabanda. Ojciec Jakuba (w 1750 r. rotmistrz królewski) otrzymał w lutym 1757 r. od króla Augusta III Sasa 25 włók ziemi w Studziance. Rodzina Azulewiczów aż do połowy XIX w. piastowała funkcję tzw. kolatorów (opiekunów) meczetu w Studziance.

Jakub Azulewicz służbę wojskową rozpoczął w wieku 15 lat. Około 1765 r. awansował na rotmistrza. Dnia 20 marca 1775 r. uzyskał patent oficerski na pułkownika. Dowodził wówczas 2 Pułkiem tatarskim lekkiej jazdy. Był to nadworny pułk królewski Stanisława Augusta Poniatowskiego.

W maju 1792 r. pułk J. Azulewicza został przeniesiony na etat wojska Rzeczypospolitej, a w lipcu przemianowano go na 6 Pułk Przedniej Straży. Liczył on 407 oficerów i żołnierzy. Pułk ten przynależał do warszawskiego garnizonu. Początkowo stacjonował w Kobryniu, a następnie w Łomnej i Janowie. Do końca komendę nad nim sprawował płk J. Azulewicz.



W pułku służyło także 3 synów jego synów. W czasie wojny polsko-rosyjskiej 1792 r. pułk Azulewicza skierował się w kierunku swojego obozu na Pradze. Działania 6 Pułku ograniczone zostały wówczas do marszów na Mazowszu i Podlasiu oraz patrolowania i zatapiania promów na Bugu. Po kampanii 1792 r.

pułk włączono do dywizji gen. Michała Zabiegly z kwaterą w Płocku. Od września tego roku pułk stacjonował w Kobryniu.

Wkwietniu 1794 r. Azulewicz jako jeden z pierwszych dowódców przyłączył się do Insurekcji Kościuszkowskiej. Pułk stacjonował w Janowie k. Sokółki, a od drugiej połowy czerwca w Brześciu. Płk. J. Azulewicz wkroczył do Wilna 2 sierpnia w celu jego obrony. Pułk Azulewicza bronił miasta od strony traktu raduńskiego. Pułkownik poległ 11 sierpnia 1794 r. podczas szarży kawaleryjskiej na Rosjan, którzy przedarli się przez pozycje polskie. Dzień później Wilno skapitulowało. Ciało dowódcy spoczęło na mizarze w Studziance. Aż do sierpnia 1915 r., w meczecie w Studziance przechowywano sztandar 6 Pułku. Jakub Azulewicz był żonaty dwukrotnie. Z małżeństwa z Marianną z Józefowiczów miał synów Dawida i Abrahama, właściciela majątku w Studziance. Z kolei ze związku z Elżbietą Kryczyńską syna Mustafę.

Sławomir Hordejuk

KONKURS

Wygraj Kazika i Bolka

Konkurs wygraj Kazika i Bolka. Wystarczy napisać słowo kluczowe oraz odpowiedzieć na pytanie podać miejscowość z której jesteśmy i wysłać odpowiedź sms-em na 501-266-672, e-mailem stowarzyszeniestudzianka@tlen.pl, lub pocztą na adres stowarzyszenia. Co miesiąc do wygrania banknot Kazik i Bolek. Pytanie na listopad: Podaj tytuł kwartalnika wydawanego przez Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Studzianka? Uznane będą tylko odpowiedzi które dotrą do nas w formie smsa lub pocztą elektroniczną w takiej postaci: www.studzianka.pl odpowiedź na pytanie imię i nazwisko miejscowość. Proszę nie dopisywać nic więcej ponieważ każdy inny znak lub słowo eliminuje odpowiedź. Na odpowiedzi

czekamy do 30 listopada do godziny 23:59. Każda prawidłowa odpowiedź weźmie udziału w losowaniu. Wśród osób które nadesłały prawidłowe odpowiedzi rozlosujemy banknot Kazika Wielkiego oraz Bolka Chrobrego. W konkursie mogą brać tylko osoby pełnoletnie. Zwycięzców ogłaszamy na stronie www.studzianka.pl w zakładce konkursy do 10 każdego miesiąca. Zachęcamy do udziału w konkursie.

ZAPRASZAMY



Spotkanie z kulturą tatarską i regionalną w Studziance

Po raz trzeci w Studziance odbyło się spotkanie z kulturą tatarską i regionalną. W tym roku w ostatni weekend lipca do Studzianki zjechali turyści, goście i mieszkańcy regionu. Mieszkańcy Studzianki od tygodni przygotowywali świetlicę na festyn.

Z funduszy sołeckich wymieniono instalację elektryczną i pomalowano pomieszczenia. Uporządkowany został cmentarz tatarski z krzaków i zarośli. W Pierwszy dzień (30 lipca) niestety plany pokrzyżowała pogoda. Podczas warsztatów łuczniczych kilkadziesiąt osób próbowało swoich sił w strzelaniu z łuku do celu. Chętnych nie brakowało. Pojawili się nie tylko mieszkańcy Studzianki ale i przyjezdni z Łosic, Białej Podlaskiej czy powiatu lubartowskiego. Po 3-godzinnych warsztatach łuczniczych, ulewa i burza zakłóciły ich przebieg i nie zostały one ukończone. Z kolei 31 lipca od wczesnych godzin rannych organizatorzy na placu przed świetlicą ustawiali scenę, którą udostępnił radny Marek Wilbik, namioty, banery, ławki, dekoracje – wykonywali ostatnie prace przed rozpoczęciem festynu. Organizatorzy ukradkiem z niecierpliwością spoglądali w niebo. Kiedy na scenie przed godz. 12 pojawił się Mariusz MAX Maksymiuk z Radio BiPeR było wiadomo, że to już niedługo rozpocznie się impreza. Prowadzący przedstawił program festynu, który został podzielony na część tatarską i regionalną. Z kolei w świetlicy z niecierpliwością Sławomir Hordejuk z Dobrynki, autor niesamowicie ciekawej wystawy „Znani zapomniani ze Studzianki” oczekiwał na uroczyste otwarcie wystawy. W samo południe Wójt Gminy Łomazy - Waldemar Drożdźkiuk przywitał przybyłych na placu za świetlicą. Wśród zaproszonych gości był Rady Sejmiku Województwa Lubelskiego

- Riad Haidar, Radny Powiatu Bialskiego - Jan Bajkowski, Wójt Gminy Piszczac - Jan Kurowski, delegacja społeczności tatarskiej. Przybyli turyści i osoby związane ze Studzianką oraz regionem ze Szczecina, Trójmiasta, Warszawy, Lublina a nawet Australii. Sławomir Hordejuk w towarzystwie gości, Mateusza oraz Anety przebranych w tatarskie stroje przecięli biało-czerwoną wstęgę udostępniając wystawę zwiedzającym. Na ekspozycji znalazły się interesujące biogramy osób związanych ze Studzianką. Na początek światowej sławy profesor psychologii Bolesław Hornowski. Obok profesor nauk rolniczych Czesław Józefaciuk. Dalej płk Mieczysław Janowicz pracownik MON i lotnictwa. Gen Józef Bielak jeden z dwóch tatarskich generałów w wojsku polskim a pochowany na mizarze w Studziance. Znakomici pedagodzy, artyści i twórcy rękodzieła ludowego. Sławek przez dwa lata zbierał materiały do zaprezentowania 24 osobistości Studzianki. Jak zapewnia to nie są jeszcze wszyscy. Potem kilkadziesiątu osobowa grupa zainteresowanych wraz z Lukaszem Wędą i Sławomirem Hordejukiem udała się w pieszą wędrowkę na mizar. Opowiadali oni o osadnictwie tatarskim w Studziance i regionie. Ukazali charakter nekropoli tatarskiej i jej znaczenie dla dziedzictwa kulturowego. Oprowadzili po cmentarzu tatarskim odpowiadając na szereg pytań zwiedzających.

Po wycieczce odbyły się wyścigi tacek w który startowały pary. Wygrała Barbara Chwedaczuk

z synem przed Bożeną Najdychor z synem i Natalią Łukaszuk z Moniką Juran. Przy pomocy Maxa i Joanny Krywczuk odbyło się mnóstwo konkursów i zabaw w których można było wygrać różnorodne nagrody. Podczas festynu rozbrzmiewała muzyka tatarska i orientalna. Wśród atrakcji było malowanie twarzy i malowanie w plenerze, które poprowadziła Magda. Nie zabrakło stoiska promocyjnego Studzianki na którym był 8 numer kwartalnika „Echo Studzianki”, długopisy, lizaki, foldery i widokówki Studzianki. Każdy mógł postrzelać z łuku, poskakać na trampolinie i ulepić naczynie na kole garncarskim, którego instruktorem był Jan Charycki z Łomaz. Stanisław Brodacki i Marian Demczuk zapraszali na smaczną grochówkę i pyszny żurek z kuchni polowej.

W Tatarskim Turnieju Rodzinnym zwyciężyła rodzina Olichwiruk w składzie: Sylwia, Leszek, Mateusz, Miłosz z Białej Podlaskiej. Pokonali oni ekipę zwaną Miški (Mateusz Szydłowski, Wioleta Niedźwiedz, Aneta Niedźwiedz, Grzegorz Charycki). III miejsce zajęła drużyna Lichwir i spółka w składzie: Natalia Łukaszuk, Marzena Szenejko, Monika Juran, Mateusz Olichwirowicz a 4 i nagrodę Fair Play ekipa Banan i spółka w składzie: Agnieszka Pietruczuk, Monika Pietruczuk, Ireneusz Dobrowolski oraz Daniel Kalinowski. Warto wskazać, że drużyny mimo padającego deszczu rywalizowały m. in. w rzucie podkową, obieraniu jajek czy picciu wody na czas. Nagrody rzeczowe oraz medale zostały



Zwiedzanie tatarskiej nekropoli w Studziance. Foto Ł.W.



Otwarcie wystawy Znani zapomniani ze Studzianki S. Hordejuk, Wicestarosta bialski J. Bajkowski, M. Olichwirowicz, A. Niedźwiedz, Ł. Węda. Zdjęcie Wioletta Niedźwiedz

zakupione ze środków Starostwa Powiatowego w Białej Podlaskiej. Następnie w tatarskim panelu dyskusyjnym Grzegorz Bogdanowicz, Sławomir Hordejuk i Łukasz Węda dyskutowali o tatarskiej tożsamości i kulturze. Zwrócili uwagę na potrzebę pielęgnacji tatarskich tradycji w Studziance i popularyzacji tematyki tatarskiej. Rozstrzygnięto również konkurs fotograficzny „Pod Obiektywem III najciekawsze ujęcie zabytków architektury sakralnej w Studziance”. Jury oceniające w składzie: Edyta Cabań, Anna Jakubiec i Natalia Bogusz

I miejsce – Eugeniusz Dawdziuk (Otwock) Zdjęcie wybrane jednogłośnie, Autor połączył piękno przyrody z powagą krzyża. Fotograf potrafi połączyć odmienne rzeczy w harmonijną całość.

II miejsce – Wioletta Niedźwiedz (Studzianka) Kamienny posąg w przybliżeniu to doskonałe ujęcie gramatury kamienia oraz dokładnie widoczne napisy. Świetna praca dobrego fotografa.

III miejsce – Daniel Fuks (Studzianka) Zachód słońca otaczający Studziańską kapliczkę. Budowla ustawiona na rozdrożu przy drzewach ukazana w pięknym świetle. Fotograf gra światłem i robi to w profesjonalny sposób.

W części regionalnej zaprezentowały się zespoły lokalne. Tę część rozpoczął Foxy w tańcu jumpstyle a po nim publiczność rozgrzała formacja Assigned To Jump. Wspaniali jumperzy przenieśli nas w świat Jumpstyle. Pomysłodawcą, założycielem oraz aktualnym liderem grupy jest Grzegorz Szymański (Szyman). To on namówił znajomych w połowie 2008 roku na Jumpstyle. Obecnie team liczy kilkunastu członków, w tym dwie osoby, które przedstawiają inny styl tańca o nazwie Melbourne Shuffle, bazujący na tym samym rodzaju muzyki co JumpStyle. Działają również o czymś świadczą choćby organizowany przez nich II Ogólnopolski Złoty Jumpstyle w Białej Podlaskiej. Sami też uczestniczą w podobnych spotkaniach w różnych regionach Polski. Ich mottem działania są słowa przysłowia:

„Chcieć to móc”. Sami trenują technikę taneczną i uczą innych. Członkowie Assigned To Jump brali też udział w różnych ogólnopolskich lub ogólnopolskich turniejach czy ligach. Na swoim koncercie mają także wiele występów, jak choćby dwukrotny występ na Zakończeniu wakacji na lotnisku w Białej Podlaskiej czy również występ na Pikniku Lotniczym w tym samym mieście. Swoją pasją chcą zarażać innych. A sami o sobie mówią: „Skaczymy, bo chcemy!”. Po nich wystąpiły zespoły: Studziaczanie, Dworzanki i Lewkowianie z Dokudowa.

Wielkie zainteresowanie mimo wcześniejszej ulewy wzbudził Turniej Strong Men Studzianka. W pierwszej konkurencji siłacze mieli za zadanie przerzucić oponę. Następnie odbył się slalom z ciężarami. Na półmetku rywalizacji prowadził Sebastian Bojarczuk. Po rzucie ciężarkiem przez zawodników i trzymania ciężaru przed sobą na czas stratę nadrobił Konrad Bojarczuk i to on został najsilniejszym człowiekiem w Turnieju Strong Men. O 2 miejscu musiała rozstrzygnąć dogrywka, gdyż każdy z trzech zawodników uzyskał tyle samo punktów. Pasjonującą walkę o drugie miejsce stoczyli Tomasz Ossowski, Tomasz Malewicz i Sebastian Bojarczuk. W pchnięciu auta wygrał minimalnie Malewicz a za nim Sebastian Bojarczuk. Zawodnicy otrzymali puchary, medale i nagrody ufundowane przez Wójta Gminy Łomazy. Nagrodę za postawę Fair Play otrzymał Tomasz Ossowski.

W kolejnej części wystąpił kabaret „Zielawa”, który w satyryczny sposób ukazał polską i zagraniczną scenę muzyczną. Po kabarecie na scenie zaprezentowały się młode wokalistki: Sandra Fuks i Karolina Kalinowska. Do zabawy zaprosił zgromadzonych zespół „Salsa”. W trakcie tańców wypuszczone zostały w niebo latające duchy szczęścia, które wzbudziły wielkie zainteresowanie. Impreza zakończyła się w późnych godzinach nocnych.

Mimo dwukrotnej ulewy spotkanie z kulturą tatarską i regionalną udało się. Frekwencja nie była tak okazała jak w poprzednich latach

ale można to tłumaczyć zmienną pogodą oraz rozpoczynającym się postem w świecie muzułmańskim, który wpłynął na przyjazd jedynie delegacji tatarskiej. Nie zabrakło przedstawicieli mediów takich jak: Radio Lublin, Radio BiPeR, portal Biała 24, Słowo Podlasia, Wspólnota Bialska, Echo Katolickie, kamer z Pulsu Miasta, BiałaTV i Interwizji. Dziękujemy Ryszardowi Bieleckiemu i Arkowi Sączukowi z Gminnego Ośrodka Kultury w Łomazach za wsparcie nagłośnieniowe. Słowa uznania i podziękowania należą się wszystkim mieszkańcom Studzianki za pomoc, życzliwość, prace i poświęcony czas. Uroczystości nie odbyłyby się bez wsparcia Darczyńców. Wyrażamy serdeczne podziękowania za pomoc i wsparcie przy organizacji III Dni Kultury Tatarskiej wszystkim Darczyńcom.

- Ewa i Franciszek Maksymiuk, zakład pogrzebowy Hades
- ELEKTROSPARK Mirosław Lesiuk, hurtownia elektryczna
- Bank Spółdzielczy Łomazy
- Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej
- Radny Powiatu Bialskiego - Jan Bajkowski,
- Radny Sejmiku Województwa Lubelskiego - Riad Haidar
- Wójt Gminy Łomazy - Waldemar Drożdżuk
- Marian Serhej, Usługi stolarsko-budowlane w Łomazach
- P.H.U. Marek Wilbik ze Studzianki
- Wilmax Agnieszka Wilbik ze Studzianki
- GS „SCH” Łomazy, sieć sklepów spożywczych i piekarnia
- Marcin Potocki MPI, salon telefonów komórkowych Biała Podlaska
- Andrzej i Teresa Bandzarewicz Dokudów, hurtownia spożywcza
- ELMAR Mariusz Joński, piekarnia w Tuczej
- Kazimierz Rozwadowski ze Studzianki
- Krzysztof Kamiński z Łomaz, Błacharstwo-Lakiernictwo

DZIĘKUJEMY

Łukasz Węda

OKIENKO Z WERSZEM

Beniowski „Pieśń VII”

*Są to od dawna zagnieżdżone ptaki
W Litwie... lud prosty, lecz jeszcze oracza
Pozłota wschodnia trzyma się - i znaki,
Które na twarzach rycerstwo wytłacza,
Widome dotąd, z wieśniaczego lica
Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica (...)
Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
To nieraz stanie i w dźwięk się zaslucha;
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,
A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometkańskich wojsk pędzone mary,
Idą na północ; a gdy kosa krucha,
Osełkiem tarta, na puszcę zabrzęczy -
Ałłach! il Ałłach! z puszczy, jak echo jęczy (...)
W Tatarze wtenczas, jak w ognistym ptaku,
Palą się oczy - stępy przypomina
I słone jakieś jeziora Kipczaku,
O których tylko wieść z ojca do syna
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,
Który nad głową ludu już zaczyna
Gasnąć i zorzę zdejmować różaną -
Aż w ciemnej nocy - bez pamiętek wstaną.
To wtenczas próżno już wśród mogił pola
Głupim poetom budzić lutnię smętną;
Zostawić lepiej ją skrzydłom Eola,
Nieprzewidziane z niej dobędzie tętno;
Lub skowronkowa ją przyszłości rola
Zaśpiewa pieśnią dziwną, nie namiętną
I tak spokojną, jak wiośniane szmery,
I tak wysoką, jak grające sfery.
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co spod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzące (...)
Z twarzą do nieba wzniesioną, wśród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby życia płaczące i czasu
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów...*

Juliusz Słowacki

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ



Spotyka Jaś swoją nauczycielkę:
- Witaj Jasiu, co słysząc?
- W porządku proszę pani.

- Co porabiasz Jasiu?
- Wykładałam chemię, proszę pani
- Niemożliwe!! Gdzie?
- W Biedronce

- Kto cię tak pogryzł?
- Mój pies.
- Jak to się stało?
- Wróciłem do domu trzeźwy i mnie nie poznał.

Panna z gościem w łóżku. Tuż po seksie.
Ona: - A ty miły, AIDS to na pewno nie masz?
On: - Absolutnie nie, kochana!

Ona: - Chwała Bogu misiu, bo już bałam się, że drugi raz to złapię.

Mecze Polaków na Mistrzostwach Świata dzielimy na trzy grupy:

- 1) mecz otwarcia
- 2) mecz o wszystko
- 3) mecz o honor

Jedzie dwóch gości jeden maluchem a drugi najnowszym modelem Porshe. Jadą 100 km/h i gościu z malucha wychyla się i krzyczy:

- Panie zna się pan na samochodach?

Kierowca Porshe siedzi cicho. Jadą 200 km/h i gościu z malucha wychyla się i krzyczy:

- Panie zna się pan na samochodach?

Kierowca Porshe siedzi i nic nie mówi. Jadą 300 km/h !!!!! Porshe zostaje z tyłu. Gościu z malucha wychyla się i krzyczy: Panie zna się pan na samochodach?

Kierowca Porshe odpowiada:

- Znam się tylko niech pan się zatrzyma. Zatrzymali się.

Facet z malucha pyta się kierowcę Porshe:

- Panie, jak się wrzuca drugi bieg?!

Siedzi facet w teatrze i nagle czuje okropny smród.

Stuka gościa przed sobą i mówi:

- Przepraszam, czy pan się może nie zesrał?

- Tak, a o co chodzi?

Idzie sobie Czerwony Kapturek przez las, aż tu zza krzaków wyskakuje wilk.

- Cześć wilku! - krzyczy Czerwony Kapturek.

- Co jest, nie boisz się? - pyta wilk.

- A czego mam się bać?! Pieniądzy nie mam, a seks lubię!

Wybrał: S.H.

STOPKA REDAKCYJNA

Kwartalnik redagują:

Sławomir Hordejuk, Łukasz Radosław Węda

Współpraca: Anita Kukawska

Skład graficzny: Kamil Łojko Nakład: 1000 egz.

Stowarzyszenie Rozwoju Miejscowości Studzianka

Studzianka 42, 21-532 Łomazy

kom. 501 266 672

e-mail: stowarzyszeniestudzianka@tlen.pl